

rozpoczął bez życia, nie starając się o wynalezienie efektów. głosem monotonnym i głuchym. A słuchacze szepłali:

— Mimika jest jeszcze dobra!

I coś wam z tego przyjdzie, że na mnie pa-  
[trzycie-

Serca mego przyspieszacie bicie...  
Litości! Czyż nie wiecie, jakie męki znoszę  
Przez to spojrenie wasze. Odwróćcie się, proszę!  
Jam tu błądy i drżący, iza mi oko mroczy,  
Wy wszyscy tak uważnie patrzycie mi w oczy...  
Nie wiecież, jakie wzrok wasz sprawia mi ka-  
[tusze

Zapadają wciąż głębiej, coraz głębiej w duszę...  
Lecz nie — siedzicie niemi. Oko wasze niszczy  
Mój spokój. Widzę płomień, co w spojreniach  
[blyszczący,

Jak gdybyście wy chcieli tu żreńca nadać  
Nawskroś przejechać złołąką duszę moją całą!  
I coś wy tam widziecie? Ta głęboka rana...  
To jest fałszywa! Łaski ludzie! Padam na kolana,  
I wycofując do was drżące me ramiona,  
Błagam was, zaklinam na niebo! na... ach! ona!..

Bądź, co bądź, słuchano. On mówił dalej:

Rozumiem wszystko! to ty! Już się wróciła!  
Ty, coś to duże oczy w twarz moją utkwiła.  
To ty, której spojrenie zimne sprawia drżesze!  
Tak, tam. Oj te oczy! tam! ty zawsze! ty jeszcze!  
O! ja nie chcę widzieć ciebie! Precz odemnie,  
[precz!

Nie patrz na mnie! Czuję ostry wzroku twego  
[uniecz!

Nie patrz na mnie! Ja cię nie... nie! nie! nie-  
[rządnicę?

Cóż chcesz odemnie? nie zabitem cię niedźwiedź!  
Lecz, gdybym to był zrobił, by mój szaf ochło-  
[dzić,

Odpowiedz! jakim prawem śmiesz aż tu przy-  
[chodzić?

Od kiedyż to widziadła, miast o nocej porze,  
Zjawiają się w dzień jasny — i w salonie może?

Powstał szmer! Ten ostatni ustęp  
osądzono stanowczo, jako rzecz złego gustu.  
W końcu przez poszanowanie tylko słuchano.  
Lecz aktor — o! ten był przeje-  
ty samym sobą. Oko rzuciło iskry,  
a twarz konwulsyjnie skurczona wyrażała  
nieopisany przestach. Uspokojono się.  
On ciągnął dalej:

Więc odejdź precz! precz! Co, czyż nie dosyć  
[ci tego,

Że przychodzisz mnie budzić z mego snu lekkiego,  
I palcami zimnymi, jak lód całej rzeki,  
Podnosisz z przestraszonych oczów me powieki!  
Czyż nie dość ci więc tego, że o nocej dobie,  
Straszne widziadło twoje wiecznie nam przy sobie,  
Teraz wszystko chcesz wyznać w obec obojga  
[twarzy!...

Lecz nie, ja jestem sam, sam, niech się przyje-  
[odważy!

Jednak to ty, ty z siną na twej szyi smugą!  
A! tego nadto w końcu! cierpie już za długo!  
Za nadto cię unikam! Precz, z duszą lekliwa!  
Policzmy się! chęć tego! Dalej, mów! lecz żywo!  
Lub raczej nie! milcz! Wszystko przypominam  
[sobie —

Aż do końca rzecz całą opowiem dziś tobie...  
Zobaczysz... Ach! kochałem, miłość ma szalona  
Była mi niebem całym. Gdy mi tulił do jona  
Twa postać wiotką, cudną, anielską, niewinną.  
Czyż mogłem sądzić wtedy, żeś tak strasznie  
[finną...

Jak pies, który na pierwsze poruszenie skoczy,  
Tak ja zawsze z uwagą patrzyłem w twe oczy...  
Niestety! szybko znikła moja radość całą...  
Kochałem cię tak czule — tyś mnie nie kochała!  
Lecz nie w tem zbrodnia twoja. Zbrodnia twoja  
[była

To niecie kłamstwo, które szczęście, me zburiło!  
Zbrodnią twą jest to czoło, które czystość wieńczy!  
Zbrodnią twą jest ten uśmiech, co się do mnie  
[wiedziecy]

O! ta noc nadewszystko! ta noc straszna... kiedy...  
Tak... tak... dobrze! to prawda... zemściłem  
[się wtedy,

Przyznaję. O! ja czekałem ciągle — sam, drżący —  
Słucham... na schodach słyszę jakiś chód trzesz-  
[czący!

Nie... nie ma nikogo — a jednak, tam — ktoś  
[stoi!...

W sieni. Przyrzec się lepiej oko me się to!..  
Ha!... to... ona!!! — spojrzalem — i wszystko  
[odgadłem!

W głowie szum... w oczach ciemno... a jednak  
[nie padłem!

O byłem spokojny. Z uśmiechem się zbliżyłem.  
Bez gniewu, twarzy mojej nawet nie zszpiliłem.  
Pocałowałem w czoło. Mleczalem, mleczalem,  
Bo się tych łez, tak jest, łez twoich się bałem!  
A ty — tyś w myślach moich czytać nie umiała...  
Mówiłaś, że u cierpiącej matki noe cała

Przesła ci nadto szybko. Patrzam w oczy twoje  
Odrzekłem: „dobrze, położ się i spij dziecie  
[moje!...“

W spojreniu mem żadnego nie było odbłyśku.  
Chociaż chciałem świat w jednym uduśnić uścisną!  
Lecz choć spokojny maskę przybrałem usłuszną,  
Czułem, że ta komedia nie skończy się próżno...  
Byłem cichy, twych włosów rozwiązuje sploty.  
Śmiałem się — anim jednej zapomniał pieszczoty!  
Byłem uprzedzającym, jak zwykle pragnęłaś.  
Ukołysałem cię, jak dziecie... ty zasnęłaś...  
Wtedy po mnie mrow poszła i ogień — zadzieliłem...  
Jak upiór straszny, szybko! nagle się zbliżyłem.  
Chwycełem twą szyję i... na śmierć skrepiłem!

Stary komedjant, który przez cały  
czas nie zwracał wcale uwagi na efekta,  
musiał teraz dopiero odczuć, zimno pa-  
nujące pomiędzy słuchaczami:

Ani jednego kłasnienia!  
Ani nawet szmeru zadowolenia?

Cisza była lodowata.

Odegrana scena stanowczo nie znala-  
zła dobrego przyjęcia. Aktor, który do-  
tychczas stał nieporuszony, nagle drgnął,  
odskooczył, padł na kolana i łkając za-  
wołał:

— Ależ aresztujcie mnie przede! Da-  
lej, idźcie po stróżów sprawiedliwości!  
Wy nie pojmujecie zatem, że to prawda,  
prawda, straszna prawda i, że ja jestem  
zbrodniarzem!

Potem wstając dumny, głosem spo-  
kojnym:

— Kupa głupców! Oni nie czują nie!  
Oni nie czują, że umyślnie rzecz ułoży-  
łem w werszach, abym mógł wszystko  
wyznać publicznie!

Niech mnie aresztują! Niech mnie  
sądzą! Niech mnie powieszą!... Ja ją  
zabitem!

Słuchacze spoglądali jeden na drugiego  
i milczeli, podczas, gdy koledzy-aktorzy  
wzruszali ramionami mówiąc z pogardą:

— Stanowczo on jest bardzo starej  
daty, a co jest najgłupsze, to to że dekla-  
muje o historii, która była podobno praw-  
dziwa, a on jej bohaterem istotnym..

I mimo to nie wywołał wrażenia... Stary  
aktor — nie mnie w życiu grać komedji  
dramatu...

Heho.

## Szczęście.

Szczęście, to ptaszek  
O piórach złocistych,  
O barwach błękitu  
I gwiazd promienistych.

On lata, on bija  
Wysoko i nisko  
Tuż znika w obłokach.  
To znowu jest blisko.

Na świetnych pałacach  
Swobodnie spoczywa,  
Lecz długo nie bawi  
I znowu się zrywa.

Zlatuje czempredzej  
Na chacie uboga,  
Gdzie bieda się brata  
Ze smutkiem i trwogą.

I znowu uchołdzi,  
Gdzie indziej co chwile —  
Najczęściej go ujrzysz  
Na smutnej mogile...

Szczęście to ptaszek,  
A my ptasznikami,  
Pragniemy je złowić  
Wszystkimi siłami —

Przymusem je chwyćcie,  
To nasze zadanie,  
A każdy z nas myśli,  
Że mu się dostanie...

Ten siłą niechylne  
Omotał jak paskiem  
Ten siecią wojuje,  
Ten znow sumotraskiem.

Ów wydał do szczytu  
Swoją groźną zarobnika.  
Lecz ptaszek zwabiony  
Z pod ręki mu zmyka.

Najczęściej, on sprzyja  
W ostatniej godzinie...  
Ten ptaszek, to szczęście —  
Gdy ptasznik już ginie...

Szczęście to ptaszek  
Nie mądry, nie głupi,  
Lecz nikt go nie złapie  
I nikt nie przekupi.

Nikt siłą nie złowi  
I nikt nie pochwyci...  
Lecz może przypadkiem  
Sam do cię zawita.

Na ramie ci siadnie,  
Piosenkę zanuci,  
Ze światem pojedna  
I spokój przywróci.

Obdarzy cię w zdrowie.  
Obdarzy w dostarku...  
Lecz straż się go bracie  
Zamykać do klatki...

A serce mu otwórz,  
Tam miejsce dla niego —  
Niech tam przemieszkuje  
Do zgonu twojego!

Fant.

## Myśli z pod zebra...

Jedynym oszukaństwem nie podle-  
gającym karze, jest łudzenie się przy-  
szłością szczęśliwą bezwzględnie.

Kto zbyt często wznosi zamki na  
lodzie, ten najrzadziej zdobywa się na  
wybudowanie chaty na ziemi.

Tylko pesymista chwali się grunto-  
wną znajomością natury ludzkiej.

Doświadczenie jest to pomnik wznie-  
siony na grobie ideału.